Nr. 4. (dodatkowy) Lwów dnia 25. Lutego 1883. Rok VI.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE.

Obrazki caryzmu.

Pamiętniki J. GORDONA.

„Komuż te kartki martyrologji naszej nie są drogie, a nawet i wtedy, gdy na nich mieszczą się najdrobniejsze szczegóły przygód osobistych?"

(Wyjątek z „Głosu", Lwów, Nr. 30, rok 1861.)

W miejsce przedmowy.

Rozbiór pierwszego wydania niniejszego dzieła, przez Łucjana Siemieńskiego, w Feuilletonie Czasu. — (Kraków, Nr. 13, z r. 1861).

Od czasów Barskich powstał u nas nowy rodzaj literatury pamiętnikowej, w tem odmiennej od zwykłych pamiętników, że treścią ich bywa opis podróży z musu. To pewna, że zawołani niegdyś domatorowie, podróżujemy od lat ośmdziesięciu. jak liście oberwane wiatrem jesiennym po wszystkich zakątach świata. Szczególniej na północ, ku lodowatemu morzu — dokąd rzadko zagląda dla wrażeń, lub dla nauki, nawet anglik zapalony turysta — ciągną całe karawany naszych pielgrzymów, wydeptując śród zasp śniegowych tysiąc-milową ścieżkę, zlaną ich potem, łzami, a niekiedy i krwią.

Fotografję tej ziemi potępienia zdjął poeta w kilku wierszach:

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi, ni natury;
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczoraj wieczorem stworzona.

To nie Owidiuszowe Tomes nad brzegami, Pontu, żeby melancholję miękkiego pieszczocha Romy opiewać mierzonym rytmem Tristiów. O ile też wiemy, nie elegje dolatują ztamtąd, lecz epopeje w rodzaju Dantejskiego piekła, tem okropniejsze, że coby się mogło zdawać w nich fikcją poezji, jest najszczerszą rzeczywistością. — Dzika natura z zepsuciem niewoli.

Jednakowoż, i na to zgadzają się wszystkie opisy, że sam pobyt na Syberji, z wyjątkiem w kopalniach, nie jest tak okropny, żeby doń nawyknąć nie można, zwłaszcza stworzywszy sobie mały światek z poczciwych serc bratnich. Sroga, ogromna natura, swobodne w niej ruszanie się, zawsze to co innego, jak cztery wilgotne ściany z otworem niedopuszczającym nigdy słońca. — Życie na pustyni zawsze jest życiem; w zamknięcu chociaż by duch się oparł, ciało ulega zgniliźnie. — To też w opisach podróży na północ, nie tyle przeraża sam pobyt w podbiegunowej krainie soboli i białych niedźwiedzi, ile droga przebyta, te etapy po ostrogach, w towarzystwie z piętnowanymi i knutowanymi zbrodniarzami przykutymi do żelaznego drąga; te srogości strażników i dowódców będących panami życia i śmierci, wreszcie sama długość podróży licząca się nie na tygodnie, nie na miesiące, lecz na lata.

Podróż kibitką w towarzystwie żandarma, lubo ma za sobą pośpiech, jest jednak tej natury, że może zabić trudem i bezsennością.

W zwyczajnym trybie życia czujemy się zmęczeni po dwudziesto-cztero-godzinnej jeździe koleją żelazną — a cóż to jest w porównaniu kiedy sie dzień i noc leci trzęsącą kibitką przez cały miesiąc i dłużej? — Trzeba czytać te opisy, żeby pojąć męczarnie bezsenności i niewygody, a nadewszystko terroryzmu wywieranego na nieszczęśliwym, przez każdego, co na mocy prawa przywiązanego do kołnierza, może się znęcać nad ofiarą, bez żadnej odpowiedzialności. Kiedy przyjdzie pomyśleć, ilu to od kilkudziesięciu lat, doświadczyło tego losu, ile kości bieli się na tej drodze prowadzącej w krainę tęsknoty i płaczu — dziwić się potrzeba, jak nieraz sympatja i litość cywilizowanego zachodu rozkwila się nad tem, co może rozkwilenia nie warte, a okazuje się głuchą na jęk bólu, wyrywający się z najszlachetniejszej piersi. Drapieżny murzyn zaprzedany w niewolę przez własnych braci, rozrzewniał niedawno w romansie pani Beecher Stowe; rozczulano się nad losem czarnych, którzy wytępiają się wzajemnie, i nie umiejąc u siebie być ludźmi, nabywają jakiej takiej ogłady w służbie u białych — a niczyje serce nie zapytało się: cóż to są te karawany pędzone przy drągu żelaznym na północ? Uczciwe, białe twarze, oczy myślące, słowo wdzięczne, postawa pełna godności — wszystkie cechy charakterystyczne wolnego, wykształconego człowieka. — Zdawałoby się, że potrzeba urodzić się czarnym, aby wzbudzać współczucie; zresztą, prócz dawno zapomnianego romansu pani Cottin, nader idylicznego, aby mógł mieć pretensję do nagiej rzeczywistości, nikt w tym przedmiocie pióra nie próbował; i lepiej, bo najżywsza wyobraźnia nigdyby tego wymyśleć nie mogła, co opowiedzieć umie prawdziwa prawda tych kilku pamiętników, którymi wzbogacili literaturę naszą sybirscy wygnańcy. Jest to, można rzec bez przesady, jedna z najoryginalniejszych gałęzi naszego piśmiennictwa; zapewne nikt nam jej nie pozazdrości. ani zaprzeczy; nie zrodziła się, bowiem. śród bibliotek, przy autorskim stoliku, lecz śród tiurem, o głodzie i chłodzie, pod świstem knuta, na bezbrzeżnym śniegowym stepie, lub przy kaganku oświecającym ściany kopalń.

Na murzyńską niewolę w Stanach Zjednoczonych dobry był romans — tu nie potrzeba romansu, dość prawdy. Można też oddać sprawiedliwość wszystkim, co u nas o pobycie na Syberji pisali, że nie gonili, ani za kwiatami stylu, ani za sprawieniem efektu. Sama rzecz powtórzona po prostu zrobiła ich niepospolitymi stylistami; a o dramatyczne efekta nie mieli potrzeby ubiegać się, bo te co krok ich spotykały.

Początek temu rodzajowi literatury, dał u nas Załuski, biskup kijowski, wywieziony w głąb Moskwy z innymi senatorami, jeszcze wtedy, kiedy Rzeczpospolita stała w pełnych granicach. Jeśliby kto chciał ten przypadek objaśnić komu i powiedzieć, że to było tak samo, jak gdyby dziś cesarz Napoleon rozkazał porwać z parlamentu angielskiego lorda Kinglake za to, że mówił przeciw jego polityce, i wywieźć go do Kajenny — każdyby cudzoziemiec otworzył zdziwione oczy i zaprotestował przeciw niepodobieństwu. Zacny ten duchowny senator, zawołany bibljograf, opisał wierszem nierymowym przygody swego pobytu w Kałudze. On zaczął, a po nim konfederaci barscy, choć wtedy bardzo nieskoro, brano się do pióra, dostarczyli takich opisów podróży z „musu". Między innymi Chojecki, Belcour, Beniowski, którego ucieczka z Kamczatki, a nadewszystko pobyt w Madagaskarze, zrobiły mu rozgłos w całym świecie. Z późniejszej generacji, najszacowniejsze pamiętniki pobytu na Kamczatce zostawił Brygadjer Kopeć, wzięty w niewolę pod Maciejowicami. Wysokie ich znaczenie podniósł w prelekcjach swoich Mickiewicz; stanowią one niemal najpiękniejszy ustęp naszej Odyssei, ogromniejszej, niż homeryczna. której każdy z miotanych losem Odysseuszów do niczego nie tęskni w najodleglejszych strefach, tylko — „żeby ujrzeć błękitny dym Itaki — i — umrzeć". —

Nowszymi czasy, Ewa Felińska spisała wspomnienia swego pobytu w Berezowie, tym najsmutniejszym kącie Sybiru. Pamiętniki te wyszły pod cenzurą rosyjską, są więc pisane ostrożnie i bojaźliwie, jakby podróż odbyta dla przyjemności; a jednak każda karta zda się być zmoczoną łzami; po każdym

przestanku słychać, jakby matczyne westchnienie za domem, za dziećmi, za ojczyzną.

Spodziewać by się można, że z powrotem tylu Sybirczyków opisy będą mniej rzadkie. Skutek ztąd dobry, bo świat cywilizowany czytając je, dozna wcale nowych wrażeń, i w opinji potępi barbarzyński sposób obchodzenia się z ludźmi, co za nieoględne słówko, studencki wierszyk, nierozważny wybryk, a zawsze za uczucia z mlekiem matki wyssane, bywali skazywani na takie katusze, jakich najsurowsze prawo cywilizowanych narodów nie śmiałoby do największego zastosować zbrodniarza. Rzeczywiście potrzeba było nieraz bardzo błahego powodu, żeby popaść w ręce strasznej inkwizycji i mieć na całe życie złamane istnienie. Pamiętniki J. Gordona najświeżej wydane, zalecające się nieudaną szczerością, pokazują młodego dziewiętnastoletniego chłopca, jak w którejś kawiarni warszawskiej poznajamia się z pewnym przyjacielskim panem, co go wyciąga na słówka patrjotyczne i na różne zwierzenia się z planami wyjazdu za granicę. Było to dosyć, żeby się dostać do więzienia i być skazanym bez żadnego sądu w rekruty na Kaukaz, lub Sybir.

Przejście to niech sam autor opowie:

„Plac pragski, to początek mojego długiego wojażu.

„W grubej opończy szarej, w czapce „szarej z wielkim kwadratowym daszkiem, „z zarzuconym na karku mantelzakiem sza„rym — szaro, szaro, lecz z głową podnie„sioną, oczekuję rychło marsz krzykną. Czu„pryna na mnie przy samej skórze ostrzyżo„na. Dokąd zaś przyjdzie błądzić po świecie, „w którą stronę zagnany zostanę, jest dla „mnie tajemnicą.

„Widzę się w partji etapowej, złożonej „z kilkunastu różnej barwy ludzi: to mają „być moi towarzysze podróży i niedoli razem. „Kozaki na koniach i piesi nas otaczają. Ten „się żegna z matką, ów daje ostatni pocału„nek żonie, której zapewne nigdy więcej nie „zobaczy; ja tylko czuję się samotny i opu„szczony.

„Ale otóż i uradnik kozaczy wychodzi „z kancelarji ze skórzaną torbą i nahajką „w ręku; siada na koń, komenderuje i nasz „etap snuje się zwolna, pomału, smutno, „w milczeniu, coraz dalej, coraz dalej — „odprowadzany lamentacjami kilku żydówek, „żegnających z rozpaczą macierzyńską swoje, „jak nazywały: pochwycone pachole.

„Ktoś tam w partji odezwał się na har„monijce. — Smętne tony pogrzebowego mar„szu łzy wycisnęły i tym, co oddalali się, i „tym, co zostawali.

„Za kilka minut obejrzałem się i pię„kna, i zawsze młoda Warszawa, kąpiąca się „w Wiśle, ukazała się jeszcze oczom moim, „jak olbrzymia dekoracja z czarownej melo„dramy. Wtedy głęboki żal mię ogarnął: „mnóstwo wspomnień rodzinnych ubiegłej „przeszłości: domowa strzecha, piosenki ma„tki nad kolebką mojego dzieciństwa, pamiątki „młodocianych igraszek, słowem owej niepo„wrotnej przeszłości, tłumem cisnęły się do „duszy.

„Ale później, im dalej szedłem w drogę, „tem różniejszych doznawałem uczuć, z je„dnej ostateczności wpadając w drugą. Zbyt „młodo dotknięty klęską, pomimo całej tkli„wości wrodzonej, zdziczałem niejako na umy„śle. Świat, na który tak różowo przedtem „patrzyłem, wydawał mi się niewdzięcznym, „i niewyraźne przekleństwa konały na mych „ustach".

Nieszczęśliwemu znikły nakoniec z oczu wieże Warszawy i od etapu do etapu przywlókł się do Brześcia litewskiego. Tu zawiązuje znajomości, doznaje protekcji od samychże rosjan. Rzecz osobliwa, jak litościwa Opatrzność miękczy serca ludzkie tam, gdzie okrutne prawa, a raczej bezprawia, wykonywane ściśle, wytępiłyby niezawodnie połowę mieszkańców. W Rosji nie rzadki to traf spotykać w samych wykonawcach litośne dusze. Taka protekcja przydała się nieszczęśliwemu w Brześciu, gdy partję rekrutów, do których i on należał, przykuto do żelaznego pręta, a jemu pozwolono iść osobno i patrzeć na cierpienia biedaków. Opisuje też w tych słowach pochód tej partji rekruckiej:

„Jedyna boleść, jakiej nic stłumić nie „zdołało, był smutny widok ziomków, wle„czonych, jak trzoda i do tego na zakówkach, „środkiem gościńca, po kilkunastu ściśniętych „przy jednym pręcie; jeśli było błoto, bryz„gających jeden drugiego; jeśli kurzawa, oto„czonych i oddychających czarnym tumanem „pyłu, wydobywającego się z pod stóp tylu „ludzi nagromadzonych razem i osiadającego „na ich spotniałych od trudu twarzach; na „co ciągle, idąc ścieżką obok gościńca, pa„trzeć musiałem. Gdy jeden z nich potrzebo„wał się zatrzymać, cała partja za nim, na„turalnie, toż samo uczynić zniewoloną była; „gdy jednemu wypadło się schylić, pociągał „za sobą drugich, a na ich rękach widać by„ło krwawe piętna od obcierania o żelazną „sprzęż. — W drodze na odpoczynku wszys„cy, jak mrowisko zmieszani, ległszy na zie„mię, jak mogąc, jedni na drugich, z wycią„gniętą dłonią do pręta, jeśli nie byli w sta„nie zrobić między sobą składki, by okupić „u sołdatów jedną noc spokojną."

Jednakowoż byli to przyszli obrońcy kraju, których w tak okrutny sposób traktowano!

Autor pamiętnika opowiada, jak doszedł do Dubna i, jak mu się udało spoić swoich strażników i umknąć.

Przebywszy szczęśliwie granicę austrjacką, dostał się do Niemiec, gdzie znalazłszy jakiegoś dobrodzieja zwiedził z nim Szwajcarję i Włochy.

Okoliczności roku 1848 spowodowały go, że mimowoli zameldował się władzom pogranicznym Królestwa i odstawiony był do Kalisza, a ztamtąd do Warszawy, poczem na mieszkańca przyjęła go cytadela.

Wstęp swój w tę pieczarę, gdzie się każdy na zawsze żegna z nadzieją" — opisuje w kilku malowniczych słowach:

„Ległem na twardym sienniku, czując „się mocno strudzonym długą bezsennością, „myślą i podróżą.

„Jaki był stan mój moralny, ten obja„śnię, jeśli się da objaśnić, następującem „wspomnieniem: parę lat temu przejeżdża„jąc około Niagary, słyszałem w wagonie „opowiadającego amerykanina, że indjanin „zapędzony burzą na prąd tego wodospadu, „gdy raz się ujrzy na nim, kładzie się spo„kojnie w łodzi, nakrywa głowę gunią i pędzi „wolą wiatrów na złamanie karku, bo już „nie ma dla niego ratunku.

„Otóż z zimną rezygnacją na wszystko, „co mię spotkać może, powiedziałem sobie: „kto tu zagrzęzł, nie powraca — i zmruży„łem obojętnie powieki na przygody losu."

Opis pobytu w cytadeli wyborny — żadnych deklamacyjnych wyrzekań, wszystko tak naturalne, a tak nie do uwierzenia, gdyby sława tego zakładu nie ręczyła za prawdę, gdyby osoby wówczas głównie działające i wyrokujące o życiu, lub śmierci swych ofiar, nie były dziś pod sądem za liczne przestępstwa.

Autor po drugi raz skazany — i wywieziony kibitką, opowiada długą swą podróż do Orenburga. Na tem zakończył tom pierwszy — w drugim oczekiwanym z niecierpliwością dowiemy się zapewne, jaki cud go wybawił, że został obywatelem Stanów Zjednoczonych?*)

Rozbierać po szczególe nie da się, wszystko w niej spływa w porównającą całość i czytelnikowi zdaje się, że równo z jej autorem przebywa wszystkie te koleje, jakie on przechodził i doznaje tych samych wzruszeń, jakich on doznawał.

Znany autor Chowanny i Przedburzy tak się o niej w swych listach wyraża. Trafne jego zdanie zasługuje być powtórzonem — jest ono nader rzetelnem, aby je nazwać można pochlebnem:

„Gdy przybyło do mnie dzieło to — „pisze Trentowski — byłem mocno zatru„dniony i nie mogłem zajrzeć w nie natych„miast. Dałem je w ręce córki, jako nowość. „Jednem przeczytała je tchnieniem, tak ją „zajęło; mniemałem, że to romans, skoro „dziewczynę młodą tak porwało. Później prze„czytałem je sam z równem zajęciem.

„O, to nie romans, ale o wielki Boże, „najrzeczywistsza rzeczywistość! Opis prze„żyć własnych tak dziwnych, tak bole„snych, tak prawdziwych, a opis szczery, do „spowiedzi podobny, bez próżności żadnej „skreślony.

„Rzecz ciekawa, a pisana z życiem. „Uwagi rozsypywane tam i sam są pełne „prawdy, a dają najlepsze świadectwo i gło„wie zdrowej i sercu zacnemu autora, który „jest zarazem bohaterem osnowy. Że nie roz„pisał się szerzej o cytadeli, żałowałem — „byłby zeń polski Sylvio-Pelicco; lecz z dru„giej strony dobrze zrobił, że baczył na po„zostałych spólników swojej niedoli. Pomimo „tego, opis ten bardziej jest zajmujący, niż „w „Dziadach" Mickiewicza, właśnie dla tego „że on nie poezją. Jak zwierciadlany, jak fo„tograficzny to obraz naszych stanów i poło„żeń, pod katowskiem panowaniem cara! „Sądzę, że za jakie pół wieku, gdy odmienią „się stosunki, dzieło to okaże się ważniejsze

---

*) Obacz: *Sołdat.* Nowe pamiętniki. Biblioteka pisarzy polskich Brockhausa. Tom XXXIII.
Przechadzki po Ameryce. Berlin 1866. Behr.
Podróż do Nowego Orleanu. Bibl. pisarzy polsk. Brockhausa. Tom XLVIII.

„od „Pamiętników Paska“, a poszukiwać i przedrukowywać je będą. Co podoba się w niem „najsilniej? Oto, że nie widzi się w niem „wysokiej sztuki pisarza z rzemiosła, która „upięknia rzeczy nawet obojętne, a znajduje „się jędrność, krzepkość i krótkość człowieka „czynu, prostotę i cnotę dziecięcia natury.

„Iluż takich Gordonów mamy na Sybe„rji i po świecie! O nie jednych takich przy„godach słyszałem opowiadania. Zaprawdę, „dla nas płynie czas bohaterski, jak za „Argonautów greckich; czas awantur„niczy, jak za średnich wieków; czas „krwawy, jak na początkr chrześcijaństwa. „Mamy i katakomby rzymskie, i całopalenia „apostolskie, i więcej jeszcze, bo straszliwe „knuty, kopalnie i tułactwa. Iluż to męczen„ników naszych już w grobie, a ilu jeszcze „bieduje, świecąc kościami szkieletów od nę„dzy i głodu! Przyjdzie chwila, że kiedyś „wyszukiwać się będą wiadomości o żywocie „tych ludzi i ujrzy się w nich narodowych „świętych. Dziś, niestety, nikt o nich, ani „pomyśli, nikt łzy im nie obetrze! Chodzą, „jak ofiary piekła, które nam wróg zgotował, „ażeby kiedyś wstąpić do niebios. Oby mę„czennicy ci nasi naśladować chcieli Gordo„na i opisali pamiętniki swoje! Byłby to bo„gaty zapas do dziejów narodu na dzisiejszem „Amadejowem łożu. A może i naród czyta„jąc mnogie opisy swego cierpienia, przebu„dziłby się jakoś prędzej z letargu. Już i to „byłoby wiele, gdyby poznał bliżej synów „swoich najgorliwszych, najśmielszych, naj„dzielniejszych.“

. . . .

„Po upływie kilku miesięcy wychodzi „drugie wydanie Pamiętników Gordona, a „Ty się pytasz, czy pozwolę dawniej Ci udzie„lone zdanie oddrukować. Z największą chę„cią daję to pozwolenie. Gdyby głos mój „miał być skutecznym, to polecam dzieło to „narodowi gorąco, serdecznie, z głębi duszy, „a zarazem proszę autora, ażeby nam rychło „dał dalszy jego ciąg, gdyż czytelnik cieka„wy jest, jakim sposobem powtórnie mógł „się wyrwać ze szponów w stepach Kirgiz„Kajsackich i znaleść się wolnym obywate„lem śród Paryża?“

Frejburg, dnia 3. Stycznia 1861.

Bronisław Trentowski.

WSTĘP.

Ponad granicą Polski, przesuwa się błędna postać wygnańca.

Jeszcze trochę dalej, a ujrzy on już obczyznę i usłyszy cudzą mowę. Nikt go tam nie zrozumie, nikt nie nazwie swoim synem, swoim bratem.

Przyszłość jego niepewna, nic o niej wyrzec nie potrafi, i myśli jego, i życzenia zbłąkane! Postępuje szybkim krokiem, zatrzymując się czasami znienacka i zwracając niespokojnie ucho w jedną stronę, jak gdyby go dochodziło echo drogich wspomnień i dobrze znajomych.

Wieczór jesienny i chłodny; księżyc wychylając z po za szmaty chmur smętne oblicze, świecił bladym i drżącym promieniem, ale nie zagrzewał.

Pociesz się biedny pielgrzymie. Jutrzejszego poranku obaczysz nieopadłe jeszcze zielone listki nadziei — na każdym listku brylantowe kropelki rosy; przypomną ci one gorące łzy matek polek, zdążających na odgłos dzwonka na jutrznią i płaczących nad dziećmi swojemi.

I ty przecież masz matkę? Czyż więc wspomnienie na łzy jej nie ogrzeje ducha twojego?

Próżne pociechy: pielgrzym postępuje dalej.

„Ja cię zaprowadzę, szepcze mu jakiś głos pokusy, miedzy bogactwa Peru, Kalifornii, Golkondy. Wszak już nie masz ojczyzny? Kraj twój taki biedny, a ty tak młodziutki; wielki świat przed tobą. Pójdź więc za mną, tylko za mną! Wzniosę ci pałac z granitu ze wspaniałymi portyki, otoczony wonnych jaśminów gajem; w salach jego alabastrowych wśród róż, mirtów i szmeru wodotrysków, ssąc życia słodycze, zapomnisz o cierniach przeszłości; spoczniesz po trudach spokojnie na miękkich szkarłatu wezgłowiach, otoczony artystycznem światłem tęczowych promieni w zmroku; hurysy ci się uśmiechać będą; tkliwy jęk harfy pieszcząc ucho, do snu ukołysze i tak przedrzymiesz to życie mile. Pójdź więc za mną, daj mi rękę, nie lękaj się — oto ja, Fortuna! rozwiązuję oczy dla ciebie.“

Pielgrzym uśmiechnął się gorżkiem politowaniem.

„Czy przypominasz sobie swą malutką Wandzię? kwili znowu, lecz już inny, srebrny dźwięczny głosik. Czy pamiętasz, jakeśmy razem, rówiennicy złotych latek, zbierając niezabudki w majowy poranek, pląsali po nadwiślańskich łanach, a wieczorem słuchali pienia słowików? Ja za tobą błądzę okiem, gonię marę szczęścia mego; nic mię nie może ucieszyć, nic chwilowej ulgi sprawić. Spojrzyj! ja jestem, taż sama, zawsze taż sama, cichej wioski wychowanka, twoja przyjaciółka młoda, której krasę wielbiłeś tyle, której serce podziwiałeś, gotowa porzucić lubą, domowę zagrodę i pójść z tobą, z tobą mój drogi podzielać smutną dolę; rzeknij tylko do mnie słowo, choćby jedno słówko!“

Wygnańca twarz zabłysła uczuciem tajemniczem. Straszniejsza, jak w przyrodzie, w duszy jego zerwała się burza. Niewyraźne, urywane zgłoski jakiejś ponawianej zemsty, czy przysięgi poruszały jego usta, lecz trudno go było podsłuchać; zwrócił nakoniec tęskne oblicze, z wyrazem rezygnacji, ku Polsce, a wiatr unosił tylko słowa:

„Bywaj mi zdrowy kraju kochany!“

Aresztowanie.

„Kto wie, na co się to przyda!“

Rok 1846. Miałem wówczas zaledwie lat dziewiętnaście i świeżo opuściłem ławę szkolną.

Siedząc pewnego dnia w hotelu wileńskim, w Warszawie, w towarzystwie poczciwej kobiety, utrzymującej takowy, i jej krewnego Bolesława, opowiadałem ostatniemu historję zesłanych na Sybir, których ze łzą żegnałem na punkcie zbornym Pragi; opowiadałem mu także niektóre szczegóły dotyczące aresztowania komornika Zarzyckiego, później tak barbarzyńsko gnianego przez strój*), jako należącego do sprawy politycznej księdza Ściegiennego.

Na tę rozmowę nadchodzi młody człowiek, wykwintnej powierzchowności, którego przedstawiają mi, jako pana Brzezańskiego, mającego niby ojca w emigracji, dobrego chłopca, który pozwoli mi być z sobą sans façon. Prowadzę więc najspokojniej zaczętą rozmowę. skończywszy, oddalam się, a w parę dni odbieram u siebie wizytę Bolesława z Brzezańskim.

Ostatni jest wylany dla mnie. Lew warszawski, a przytem patrjota. Lubi on mię bardzo. Daje mi dowody swego zaufania, ukazując na ulicy, w teatrze, niektóre figury, które mianuje „nieszkodliwemi więcej“, bo on już je odkrył, jako należące do tajnej policji, i t. d. Słowem, Brzezański bywa u mnie nawet za zbyt często, tak mię kocha i naraża zręcznie na wydatki pieniężne.

Nadchodzi nakoniec dzień pożegnania. Oświadczam mu zamiar opuszczenia Warszawy i powrotu do domu na wieś, może jeszcze tegoż samego wieczora. Przychodzę do mego numeru w hotelu, kładę się na sofie i przerzucam gazetę — gdy nagle drzwi się otwierają, wchodzą do mnie skromnie jakieś indywidua po cywilnemu poodziewane, fizognomje podejrzane, pod przewodnictwem komisarza policji Grasa, ulubieńca księcia Paszkiewicza.

Spoglądem na nich z podziwieniem, Każą mi pofatygować się do ober-policmajstra. Wstaję więc — drzwi mej stancji pieczętują, nie oddawszy mi klucza i nieproszeni siadają ze mną ci, aniołowie stróże, do oczekującej dorożki.

Wszystko to stało się w oka mgnieniu.

Oglądam się i postrzegam nie bez trwogi, że taki sam los spotkał i biednego Bolesława. Popadliśmy obydwa w szpony łapaczy!

Przyjeżdżamy więc na ratusz — tam wprędce zrewidowano me kieszenie i posadzono samotnego w stancyjce za kratą. Prędzejbym się był śmierci spodziewał, niż tak nagle ujrzeć się w potrzasku.

Godzina jedenasta w nocy powolnie uderza na zegarze ratuszowym.

Rygle się odsuwają; okazuje się mym oczom naprzód latarka w ręku, a za nią postać przechrzty Grasa, w pewnej asystencji. Prowadzą mię przez podwórze do ober-policmajstra, jenerała Abramowicza.

Nie byłem jeszcze w stanie zebrać myśli dostatecznie.

Abramowicza zastałem siedzącego przy kieliszku wina wraz z hrabią B. Poznałem w ostatnim toż samo indywiduum, który niegdyś gardło sobie podrzynał w skutek narobionych długów, nim został ślepem intryg policji narzędziem.

---

*) Wyrażenie rosyjskie *strój* oznacza dwa szeregi żołnierzy opatrzonych prętami, którymi uderzają delikwenta do połowy obnażonego i ciągnionego pomiędzy szeregami, z rękami przywiązanemi do karabina.

Rozmowa moja z Abramowiczem, która nigdy nie wygaśnie w pamięci, choćbym żył lata Matuzalowe, była następującą, niemal co do słowa:

— Czy wiesz, za co tu jesteś?

— Nie wiem.

— Czy waćpan słyszałeś o rózgach Grasa?

— Aa! — nie miałem tego honoru jenerale.

— Eh, jak on cię każe osmagać, to zapomnisz o swej czapce konfederatce, i śpiewać nam będziesz na inną nutę, niżeli do młodzieży warszawskiej!

— Jestem pod przemocą jenerale. — Ale za cóż ma bić? oczekuję na pytania i posłuszny władzy, odpowiem.

Abramowicz zmienił krzykliwy ton głosu.

— Zabiliby cię — harda duszo bez kontusza. W których byłeś szkołach? — dodał po pewnym przestanku.

— W gimnazjum realnem.

Nastąpiło spojrzenie pełne znaczenia, rzucone na hrabiego B., jak gdyby chciał powiedzieć: wszystko buntowniki! Lecz ten trzymał utkwiony wzrok we mnie, i w ciągu całej rozmowy nic się nie odzywał.

— Gadaj więc! ale wiedz młokosie, że sam dyktujesz wyrok swej przyszłości. Łaska, lub sołdatył! Dom, lub tornister. Czy słyszysz? Wszak miałeś zamiar z Warszawy wyjechać prosto za granicę? Przyznaj się, bo już wszystko wiemy! Podobała ci się konstytucja króla pruskiego i rewolucja krakowska — hę? — Gadaj!

— Tego wyrazu konstytucja, dobrze nie rozumiem; a co do zamiaru wyjazdu za granicę, gdybym miał takowy, biuro paszportowe byłoby o tem bez wątpienia zawiadomione.

— Kłamiesz! won z moich oczu! Gras, zamknąć go między hołotą — na dole.

— Czuję się w obowiązku zawiadomić panów, że służą mi prawa szlachectwa i, że wszelkiej krzywdy mi wyrządzonej, ja, lub moi krewni poszukiwać będziemy.

— Won! won! — rzucił mi na dobranoc.

Gras odprowadzając mię do więzienia, oznajmić raczył pod sekretem, że choć powinienby mię umieścić gdzie rozkazano, atoli zważywszy na moją młodość i wychowanie, ofiaruje od siebie, na ryzyko, odpowiedzialności, samotność, bym się mógł snadniej namyśleć; że pod mundurem urzędnika, bije u niego serce człowieka; że bardzo jestem podobny do jednego z jego kuzynów; że mię mocno żałuje i, że pragnąc mego dobra, zaprowadzi mię tam, gdzie byłem tymczasowo: do najlepszego, obywatelskiego numeru; radząc jednak, jakby rodzonemu bratu, że pozostaje mi tylko upaść do nóg jenerała, który przecież jest polak, wyznać szczerze i ze skruchą, czego żąda, jeśli chcę powrócić swobodnie do domu — bo inaczej maszerować będę, jak to już spotkało mych kolegów szkolnych, braci Drewnoskich.

Całą noc spędziłem po omacku na rozmyślaniu i opędzaniu się od pluskiew.

Ktoś do mnie przez ścianę przyległej komnaty parę razy zapukał. Nie odpowiedziałem mu, nie znając jeszcze języka murów, podobnemże stukaniem, nie wiedząc, że piękna i szlachetna panienka ze swoją służącą obok mnie spoczywały.

Nazajutrz rano, Gras, jak duch prześladowania zjawił się znowu do mej celi, wyprowadził na dziedziniec pod pozorem przechadzki, i długo się jeszcze rozwodził z radami.

Nie umiem wyrazić stanu, w jakim się wówczas znajdowałem; nie wszystko, bowiem, da się wynurzyć, co płynie w dusz naszych wnętrzu. Byłem wprawdzie tego przekonania, że nic mi zrobić nie są w stanie, atoli jakieś uczucie niewymownego żalu i oburzenia miotało mną naprzemiany, łzy wyciskając.

Sen twardy, po długiem czuwaniu i zmorzeniu, przyniósł mi nieco ulgi, pokrzepiając ciało. Gdy się jest młodym, snu tak nam potrzeba! Przypominam sobie, że przebudziłem się dopiero na odgłos tajemniczego, znanego stuku. Ciemno już było w stancji; korzystając z tego, otworzyłem okno, bo też i duszno było. Stanąłem na stole i przyłożyłem głowę do kraty, pilnie słuchając. Z dołu hałas złoczyńców łatwo mógł pokryć głos mój; usłyszawszy więc lekki kaszel w pobocznem oknie:

— Kto jesteś koleżko? — zapytałem.

— Nim na to odpowiem, odezwał się dźwięczny głos żeński, proszę mi oznajmić, czy to pan jesteś, pan mężczyzna, który w obec Grasa i do tego na podwórzu, nie wstydził się przelewać gorące łezki, próżne jeremiady? Jeśli tak, tłómacz się pan czemprędzej, bo inaczej zrzeknę się tytułu koleżki.

Potem rozmawialiśmy długo, dopóki szumieć na dole nie przestano. Wieczór był czarowny. Mirjady gwiazd, nakształt siatki złocistej, błyszczały na ciemnym firmamencie; gwiazdki tylko sąsiadki jeszcze dojrzeć nie mogłem.

Jakież to zdarzenie! Dziewica ta, o ile zapamiętam z jej opowiadania, mając narzeczonego więźnia stanu w cytadeli i znając jego okno, wychodzące na wał fortecy, przechadzała się tam z matką, a postrzegłszy jakąś gałkę z chleba wyrzuconą, mieszczącą podobno kartczkę od niego, gdy biegła by ją podjąć, została, na alarm szyldwacha stojącego na straży, zatrzymaną, odesłaną do policji, i tu, uwięziona z matką oddzielnie.

Miała kogoś z bliskiej familji, który był urzędnikiem administracyjnym w ratuszu, gdzie znajdowaliśmy się, a który się starał o jej uwolnienie z narażeniem się na utratę posady, jaką u rządu piastował, lecz nadaremnie.

Nazwisko jej, jeśli się nie mylę, Rogalewicz. Ilekroć razy mogłem wyjść, choć pod nadzorem, na kurytarz, korzystałem z każdej okoliczności, gdy dało się poskoczyć do lufcika jej drzwi, by złożyć „dzień dobry". Odpowiadała mi z uśmiechem spokojnym. Była to ciemno-brewa, w pełnym rozwoju dziewica, cery alabastrowej i wyraz myśli jaśniał na jej pogodnem czole.

Lecz niestety! toż samo czoło, jak w kilka lat potem słuchy mię dochodziły w Kirgiz-Kajsackich stepach, obnażone później zostało siłą cierpienia z pięknego włosa w murach cytadeli; a sama, przy schyłku życia wydana matce z tego wielkiego grobowca zbudowanego dla myślących, oddała ducha Bogu na jej łonie, wśród westchnień warszawian, którzy podobno godnie wystąpili, w poważnym orszaku, na pogrzeb tej siostry, męczenniczki.

W roku 1848, gdy po wielu smutnych przejściach cierpkich kolei losu, popadłem i ja za drugimi, do tej samej cytadeli, i dostrzegłem tam na pół zatarty napis: „Mamo, ach mamo kochana!" jak gdyby igiełką ręką kobiecą wyryty nad łożkiem mojem, przyszła mi myśl, czy nie był-li on przypadkiem dziełem nieszczęśliwej mej niegdyś sąsiadki? Winienem jej był kilka błogich chwilek żywota; lecz nie długo to szczęście trwać miało.

Gras znowu za parę dni się zjawił.

U ober-policmajstra zastałem tą razą Brzezańskiego i Bolesława.

Hrabia B. kazał mi pisać kilka bez znaczenia wierszy za dyktandem, to powoli, to prędko, to cieńszem, to grubszem piórem, już to większemi, to znowu mniejszemi literami; potem porównywano to z jakimiś listami, lecz nic się nie pokazało. Następnie oddalono mię do przedpokoju, a gdy powróciłem, czytano już gotowy, spisany bezemnie protokół, protokół najnielogiczniejszy, oskarżający mię: o szkodliwe wpływy, złe zamiary, chęć udania się do Krakowa i namowę do tego innych; słowem, zawierający dużo gryzmołów, a nie poparty zgoła dowodami.

Kazano mi podpisać. Fałsze podpisywać na własną szyję? — odmówiłem.

Krzyczano, straszono; nie wyrzekłem, ani słowa.

Bolesława stawiano mi na świadki — ten zakrył sobie twarz rękoma i milczał.

Brzezańskiego nakoniec przedstawiano mi bezczelnie, jako także aresztowanego z mej przyczyny, gdy tymczasem ma dobra sąsiadka widziała tego znanego jej ptaszka, przechodzącego poprzedniego dnia z wolnej nogi przez dziedziniec ratuszowy. Zmierzyłem go więc płomieniejącym wzrokiem.

— No! Co go się boicie, już go więcej nie obaczycie — rzecze Abramowicz.

— Judasz, oskarżyciel, odrzekłem natychmiast, nie ma prawa świadczenia zarazem; a słabego charakteru uwięzionego Bolesława zeznanie, może być wymuszone.

— Cokolwiek bądź, ostrzygą ci twoją wymuskaną fryzurę i będziesz karabin piastował, a na odprawkę dam ja ci siekaninę! były ostatnie słowa policmajstra.

Zszedłszy na dół z hrabią B. do kancelarji Grasa, ostatni z udaną wściekłością (zapewne zapominając o mojem podobieństwie do jego ulubionego kuzyna), napadał na mnie szyderczo, nadstawiając wyraźnie swój opasły policzek, jak gdyby najgorętszem było jego żądaniem uzyskać na nim piętno mych pięciu palców.

Ale jakiś instynkt ochronny wstrzymał mię od tego.

Rozum w podobnych zdarzeniach, broń to pono najlepsza; obracając się więc ku hrabiemu: (C. d. n.)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Jan Chechliński.

Z drukarni K. Pillera.